

Mieczysław Tubilewicz

Nagranie relacji i redakcja maszynopisu: Janina Wołczuk

Temat: Ziemia Lidzka w latach 1922-1956 - życie codzienne, kultura, losy mieszkańców

© ARCHIWUM WSKŁONIE

I/836 24 str. oblicz.

Urodziłem się w grudniu 1928 roku w Siesiulkach /obecnie Mancewicze/ powiat Lida, województwo Nowogródek /obecnie Grodno/. Siesiulki to była okolica, mieszkała w niej szlachta; była to mała miejscowość - mieszkało 8 gospodarzy: Stasiukewicze, Giró i Cydzik /Cydzikowa była z rodziny Tubilewiczów/. W moich czasach już nie było tej świadomości, że jesteśmy szlachtą i różnimy się od mieszkańców okolicznych wiosek. Ten motyw szlacheckości pojawiał się tylko w żartach - jeżeli chłopak chodził w zaloty do szlachcianki, to mówiono, że on z innymi się znać nie chce, tylko ze szlachtą się zadaje. Ale kawalerowie z Siesiulek chodzili nie tylko ze szlachciankami.

Właściwie nie zdążyłem być w Siesiulkach kawalerem, bo miałem 16 lat, jak mnie zabrali.

W Siesiulkach ludzie nie byli zbyt zamożni. My mieliśmy 16 hektarów, ale było nas w domu 4 braci i 2 siostry. Najstarsza siostra była przed wojną już mężatką. Wyszła za mąż do Radziwoniszek, mąż jej nie był szlachcicem. Ojciec nasz zmarł w 1935 roku. Nie myśleliśmy, jakie perspektywy są przed nami. Przyszła wojna, wszystko skasowała, rozjechaliśmy się, rozwieźli nas. Trzeba przyznać, że perspektywy przed wojną były dla nas nikłe. Kiedyś gospodarka Tubilewiczów była duża, ale została podzielona pomiędzy naszego ojca i jego 4 braci - ojciec dostał 15 hektarów. Nasz stryj miał tylko 2 synów, więc potem na nich przypadłoby po 7 i pół hektara. Ale dopóki byliśmy kawalerami, nie myśleliśmy o przyszłości, nie myśleliśmy o jakimś podziale - razem mieszkaliśmy i razem pracowaliśmy.

W Siesiulkach i w Mancewiczach ludzie mówili raczej "po prostu" po polsku mówiło się w szkole. W niektórych rodzinach przestrzegano czystości języka polskiego, m.in. w naszej, a u innych Tubilewiczów już mówiło się "po prostu". Siostra mego ojca wyszła za mąż do Rudowa. W Rudowie było trochę szlachty, ale nie wiem, czy jej mąż był szlachcicem. Prawnuczka mojej cioci kształci się teraz w Polsce - po przyjeździe do Polski nie miała problemów językowych, w domu po dziś dzień mówi się u nich po polsku, radio nastawione na Warszawę.

Przed wojną, oczywiście, radia nie było. Polski był w kościele, w szkole na lekcjach. W młodszych klasach na przerwach mówiono różnie. Do klas I-IV chodziłem do Krasnowców, a do starszych - do

Mieczysław Tubilewicz c.d.

Wawiórki. Tam już w szkole było bardziej po polsku. Zdałem do 7-ej klasy, kiedy przyszli do nas Rosjanie. Po 1939 roku uczono nas białoruskiego, rosyjskiego i niemieckiego /to był wynik paktu Stalina z Hitlerem/. A polskiego też musieli uczyć, bo inaczej nie rozumieliśmy. Geografia była po polsku. W szkole nie lubiłem białoruskiego. Ten język "prosty", jakim mówiono u nas, był inny od białoruskiego. Wolałem już w szkole rosyjski. Ponieważ potem byłem w Rosji 12 lat, to znałem dobrze rosyjski, nigdy nie miałem akcentu białoruskiego, a Białorusina zawsze można poznać po akcencie.

Moi bracia nie wszyscy pokończyli 7 klas przed wojną. Nie uczyli się, bo trzeba było pracować. Chodzili nawet na zarobki do bogatszych gospodarzy. W domu nie było najzamożniej. Chleba nigdy nie brakowało, ale kupno ubrania było już problemem. Matka z siostrą tkala wełniany "samodział" i z tego miałem uszyte ubranie. Czasami kupowało się coś z ubrania w Lidzie, ale to już było wydarzenie godne pozazdroszczenia. Ciężko było o pieniądze - przemysłu nie było, nie było gdzie zarobić. Jeden brat zaczął już przed wojną pracować w młynie - najpierw w kotłowni /wozikiem mu jedzenie/. Młyn był w Wawiórcie. Tam były też sklepy i można było kupić bułeczki i inne rzeczy, ale trzeba było mieć pieniądze. Brat zarabiał to i do domu dawał i rower sobie kupił. Nie pamiętam, żeby jeszcze ktoś z sąsiadów miał rower.

Radio widziałem w Krasnowcach, jak chodziłem do szkoły. Właściciel sklepiku w Krasnowcach, niejaki Sienkiewicz /komunista/ kupił sobie radio. To był wielki szum i wydarzenie. Weszliśmy tam posłuchać, ale niewiele z tego szumu zrozumieliśmy. Radio miał także nasz nauczyciel - Filipowicz /potem zastępcy "Ponurego" - "Mały"/. Filipowicz uczył mnie i mego najstarszego brata i średnich.

Pamiętam dyrektora szkoły w Wawiórcie - taki gruby. Mieliśmy też nauczycielkę rosyjskiego - Margalik. Żartowaliśmy z tego nazwiska, bo czytane wspak brzmiało "Kilogram" - pisaliśmy je na tablicy i doprowadzaliśmy ją tym do płaczu. Nauczycielka szła na skargę do dyrektora, ale zanim on się zjawił, to zawsze zdążyliśmy z tablicy zetrzeć i udawać grzecznych. Dyrektor był nasz, przedwojenny. Początkowo po przyjściu Rosjan w Wawiórcie byli nasi starzy nauczyciele. Nie wiem, co się z nimi stało potem, bo nie mieszkalem w Wawiórcie. Mieliśmy też takiego komsomolca, który nas "wychowywał". Po lekcjach 2-3 razy w tygodniu musieliśmy iść obowiązkowo do klubu. Ja i Mietek Cydzik nie byliśmy parę razy w tym klubie, to koleżanka - taki szpicel - Marcinowicz /mieszka teraz w Lidzie/ Krysty-

Mieczysław Tubilewicz c.d.

na powiedziała, że Tubilewicz i Cydzik nie chcą chodzić, bo oni "są kułaki", jeżdżą rowerami /czasami przyjeżdżałem do szkoły rowerem brata/. W Wawiórcie przed wojną był klub i jako klub działał przy Rosjanach. Szliśmy więc do tego klubu i ktoś /wyznaczony albo osobiście ten komsomolec/ czytał na głos gazetę, on komentował to. Czasami prowadził z nami pogadanki o dobrobycie i sprawiedliwości w Związku Radzieckim. To były tematy polityczno-wychowawcze, m.in. o bohaterach rosyjskich.

Nie pamiętam właściwie momentu wkroczenia Rosjan do nas. A potem to pomagałem czasami i Rosjanom i Niemcom: jak Niemcy gonili rosyjskich jeńców wojennych - szosą między Lidą i Wasiliszkami - dwa razy w tygodniu, to ja pozbierałem takie dzieci, mniejsze od siebie, nazbieraliśmy chleba, ogórków i dawaliśmy tym żołnierzom. Potem Niemcy zaczęli nas gonić - to my kładliśmy to na drodze i zawsze któryś z jeńców to podniósł. Co to było - takie ilości na taką masę ludzi! ale szliśmy tam, bo widzieliśmy, że to głodni, zmęczeni ludzie. Zawsze dobrałem do kompanii 4-5 osób, dzieci mniejsze ode mnie. Nawet potem w śledztwie, kiedy rozpatrywano moją sprawę powtórnie - w Mancewiczach, to ten fakt wypłynął. Na pierwszym śledztwie występowała jako świadek kobieta ze wsi, nasza znajoma, która nie znała żadnych konkretnych faktów, ale świadczyła, że ja dla AKowców zbierałem chleb po wsi, załatwiałem furmanki /ja rzeczywiście to robiłem, ale ona nie miała o tym pojęcia/. A potem, po powtórny raz rozpatrzeniu sprawy, kiedy bratu zdjęto 10 lat - najstarszemu, drugiemu - 3 lata, a mnie zrehabilitowano /należało uważać, że nie jestem sądzony/ - byłem już wtedy w Polsce, to śledczy pytał siostrę o moje zachowanie. Siostra powiedziała, że najmłodszy brat to pomagał jeńcom rosyjskim - nosił im z dzieciakami chleb, ogórki - a wy go posadziliście na 10 lat.

Potem, jak odstępowali Niemcy, to szli koło naszego domu, może ze 120 żołnierzy piechoty - uzbrojonych, wycofywali się. Był straszny upał. Wtedy starszy brat /on przeszedł wojsko/ mówi: "Szybko, dwa wiadra wody, nabierz ze studni i postaw koło drogi. Żołnierze na pewno chcą pić." Przyniosłem te dwa wiadra wody. Żołnierze zaraz poodpinali menażki, piją, jeszcze nabierają. A ja stoję i patrzę, myślę, że zaraz pobiegnę po drugie wiadro. A tu podchodzi oficer, coś gada do żołnierzy po niemiecku i mi daje znać, że bym zabrał te wiadra i szedł. Nie zdawałem sobie sprawy ze wszystkiego, pomyślałem, że ten oficer jest niedobry. A potem, kiedy dorosłem i zdawałem sobie sprawę z wielu spraw, pomyślałem, że oficer miał rację, że on musi przewidywać wszystko.

Mieczysław Tubilewicz c.d.

Zimą 1940 roku z Siesiułek nie wywieźli nikogo. Wywożono przede wszystkim te osoby, które miały państwowe posady. Z Mancewicz nikt na takich posadach nie było. Gajowi byli z Wawiórki, to ich wywieźli, całą rodzinę. Byliśmy nawet zaprzyjaźnieni. Było tam trzech braci: Leon, Witek i Stanisław Kiziule. Mieli siostrę, która tam zmarła. Wywieźli też ich matkę i ojca. Z Wawiórki wywieźli trochę więcej ludzi, bo tam było trochę więcej urzędników - tam była gmina.

Osadnicy byli w Kowalach, to miejscowość na wprost od Siesiułek, może z półtora kilometra. Kiedy chodziłem do szkoły do Krasnowców, to nas prowadzano na wycieczki-spacerki do osadników. Tam część majątku została oddana osadnikom wojskowym - piłsudczykom. Było ich chyba czterech: Dąbrowski, Skawiński, Jastrzębski i ? /czwartego nie pamiętam/. Gospodarstwa osadników były ładnie ogrodzone, były ładne budynki. Na pierwszy rzut oka było widać, że to jest konkretny gospodarz. Byliśmy u jednego z nich: wyszedł do nas w białej koszuli, z szelkami, z brzuszkim - wyglądał na właściciela większego gospodarstwa. Nie wiem dokładnie, jak się potoczyły potem losy tych osadników, ale prawdopodobnie wszyscy zostali wywiezieni. Z dziećmi osadników chodziłem do szkoły, ale kiedy przyszli Rosjanie to początkowo szkoły nie było, poza tym chodziłem już do Wawiórki, a potem, kiedy znów chodziłem do Krasnowców /to była chyba okupacja niemiecka/, to w szkole spotkały się różne roczniki dzieci.

Ludzie dowiedzieli się o tym, że wywożą, zaraz na drugi dzień - byli ludzie i znikli. Czasy były takie, że poza rozmową ludzie niewiele mogli zrobić. Właściwie każdy spodziewał się, że może zostać wywieziony. W domu rozmawiano o tym, żeby być przygotowanym na ewentualną wywózkę, żeby było coś na nogi, coś cieplejszego uszyć. Bo, na przykład, u Kiziulów było wszystkiego w zapasie - to była zamożna rodzina. Mieli i ubrań dosyć serów nasuszonych na strychu /mieli chyba 4 krowy/, ale im nie pozwolili zabrać. Mogli wziąć tyle, co się zmieściło pod ręką. Nie wiem, co się stało z ich dobytkiem; przecież tam było komunistów sporo, może oni to rozebrali.

W Wawiórcie za cmentarzem mieszkał taki, np. Gudzinowicz. Trzymał pszczoły i udawał, że żyje z pszczoł. Miał się rzeczywiście nieźle. W Wawiórcie była taka ich organizacja komunistyczna "Iskra", być może należeli do niej nie tylko ludzie z Wawiórki. Wszyscy wiedzieli o tym, nikt nikogo nie ruszał i było dobrze. Córka Gudzinowicza /najmłodsza/ chodziła ze mną do szkoły. Dzieci wiedziały, że jej ojciec jest komunistą. Dziewczynę tę przezywaliśmy "Reks", bo miała długie nogi, tak jak pies jego ojca. A Gudzinowicz otrzymywał pomoc ze wschodu, ale o tym dowiedziałem się potem.

Mieczysław Tubilewicz c.d.

Nie wiem, jak technicznie była zorganizowana ta pomoc, ale komuniści byli subsydi<sup>o</sup>wani, i ten Sienkiewicz też, bo z tego sklepi<sup>o</sup>ku, który on miał, i z gospodarstwa /bo Gudzinowicz nie miał nawet gospodarstwa/ takich dochodów nie mógł mieć.

Po przyjeździe Rosjan ci komuniści zaraz dostali <sup>ja</sup> jakieś stanowiska. Gudzinowicz wtedy już nie z każdym chciał gadać. Stanowiska żadnego już nie miał, bo był za stary, ale oni wszyscy się poustawiali - na przewodniczących sielsowietu, na innych funkcyjnych - to byli wszyscy swoi.

Przed wojną w naszych stronach był wyraźny podział wyznaniowy - na katolików i prawosławnych. O 2 kilometry od nas były Nowosiołki, tam była cerkiew i tam Polaków było bardzo mało /jak prawosławny, to Białorusin/. Ale w stosunkach międzyludzkich nie było przed wojną różnicy. Moja matka jest prawosławna - przeszła na wiarę katolicką. Ale nie uważam, że moja matka jest Białorusinką. Matka przeszła na katolicyzm wychodząc za męża. Było chyba przyjęte, że kobieta przyjmując nazwisko męża przyjmowała również i jego wiarę. Nie wiem, jak było w przypadku, kiedy mężczyzna był prawosławny i ożenił się z katoliczką - nie znam takiej rodziny.

Moja matka była z domu Szczepuk. Matka miała jednego brata, był bardzo dobrym pływakiem /tam była rzeka Dzitwa/. Nie znaleźliśmy jednak świąt prawosławnych. W goście rodzina matki bardzo rzadko do nas przychodziła. Ale to nie było związane ze zmianą wyznania przez matkę. Nie pamiętam nawet, czy wujek był żonaty? Kontaktów nie było nie z powodu różnicy poglądów, nie wiem dlaczego właściwie nie spotykaliśmy się. Matka miała też siostry stryjeczne i z nimi utrzymywała kontakty. Mieszkały obok naszego wujka, też w Nowosiołkach.

Kiedy zmarł ojciec, w 1935 roku, chodziłem do szkoły. Ojciec chorował, leżał. Pasłem krowy, a tu przyszła sąsiadka i mówi, że zmarł mój ojciec. A ja nijak nie zareagowałem. Ona się dziwi, że <sup>ja</sup> ja taki spokojny. <sup>e</sup>ezli chodzi o wychowywanie nas, to w rodzinie matka była ostrzejsza. To matka nas karciła, a ojciec nas bronił, był bardziej pobłażliwy. A w rodzinie naszego stryja - Franciszka Tubiel<sup>e</sup>wicza - to stryj trzymał wszystko w garści. A nam matka nie pobłażała, widziała, że czterech synów rośnie i trzeba ich krótko trzymać.

Nasz związek z konspiracją zaczął się podczas okupacji niemieckiej. Niemcy zaczęli brać ludzi do roboty, wywozili do Niemiec. Po wsiach było sporo Rosjan - to byli wojskowi, którzy nie zdążyli w 1941 roku uciec: zrzucali mundury i zostawali u ludzi -

Mieczysław <sup>J</sup>Wubilewicz c.d.

pracowali po gospodarstwach, jak ktoś przyjął. Niemcy po przyjściu zrobili spisy tych Rosjan, potem zaczęli ich zabierać. ŻandarmfuH-<sup>"</sup>rer robił zebrania w Wawiórcie /potem AK wykurzyło go z Wawiórki i to było w Wasiliszkach/. Potem, kiedy już Rosjanie zostali zabrani, to zaczęto zabierać <sup>W</sup>Polaków Rosjanie przed wywózką chowali się do lasów, organizowali partyzantkę. Kiedy Niemcy wzięli się za <sup>P</sup>Polaków, to Polacy też poszli do partyzantki, dołączyli do Rosjan. Co sobotę Niemcy wyznaczali osoby, które mają jechać do pracy do Niemiec. Mój starszy brat był nawet podsołtysem. Wtedy burmistrz był <sup>P</sup>Polak, komendant policji - <sup>P</sup>Polak - i tam brat chodził na zebrania. Komendantem w Wawiórcie był Laskowski. I burmistrz i komendant poprzez mojego brata chcieli nawiązać kontakt z partyzantami.

Wawiórka leżała pośród lasów i potem komenda przeniosła się do Wasiliszek. W policji byli <sup>P</sup>Polacy, chyba dobrowolnie - kiedy posterunek w Wasiliszkach został rozbrojony przez AK, to policjanci od razu przeszli do partyzantki /kto tylko chciał/.

## II strona

Kiedys zimą przyszli do nas AK-owcy przebrani w niemieckie mundury. Brata Stanisława /pseudonim Irena/ nie było w domu, pojechał wtedy do Lidy. AKowcy potrzebowali koni. W Rulewiczach był punkt AKowski, mieszkali tam na koloniach m.in. Waszkiewicze - ich ojciec przed wojną był wójtem, Waszkiewicze zostali potem powywożeni /niektórzy pouciekali/. Wtedy kierując się do Rulewicz partyzanci musieli uprzedzić, że nie są Niemcami, bo inaczej tamci mogliby ich kropnąć. /Niektórzy Waszkiewicze potem rozbijali sielsowiety/ My wiedzieliśmy, kogo w Rulewiczach powiadomić, jeden z braci - Jan czy Aleksander - wziął konia i pojechał uprzedzić, że będą jechali AK-owcy. Z akcji przypominam sobie akcję koło Rądziwoniszek - po broń. Niemcy patrolowali tory, nas było kilku. Podzieliliśmy się na dwie grupki, jedna narobiła zamieszania, a my wtedy z przeciwnej strony torów rozbroiliśmy Niemców. Jeden Niemiec został ranny. Zabraliśmy ich dalej od torów, żeby nie nadeszło ich więcej. Zaczęliśmy opatrywać tego rannego, patrzymy, a ten drugi Niemiec <sup>pr</sup> płacze. Pytamy - dlaczego. A on na to, że ten ranny, to jego brat i jest mu żal, że ich matka nie doczeka powrotu żadnego z synów. On był pewien, że ich zastrzelimy. A my opatrzyliśmy ich i puścili wolno. Poszli, ale się oglądali, nie byli pewni, czy <sup>P</sup>Polacy ich nie zastrzelą. Wtedy o Niemcach myślało się jako o "szwabach", dzisiaj patrzę na to trochę inaczej, bardziej po ludzku.

Wtedy chodziło nam przede wszystkim o broń. Ale brat Jan opowiadał, że Ragner trzymał sztamę z Niemcami. Mówił, że Ragner miał umówione miejsce i czas, kiedy czekał na broń i amunicję od Niem-

Mieczysław Tubilewicz c.d.

ców, koło Dzitwy. I Niemcy dostarczali mu broń. Poglacy nie chcieli być z Rosjanami razem w lesie i zepchnęli ich za Niemna. Rosjan było 20 000 i dwukrotnie oni wychodzili z za Niemna, żeby okrążyć AK. Opowiadał brat z UBK, że pewnego razu Rosjanie ich tak przygnietli do Niemna /z tej naszej strony/, że było z nimi krucho. Ale gdzieś niedaleko przechodził Ragner, czy też został powiadomiony. Ragner podszedł do nich z drugiej strony Niemna, tak że Rosjanie znaleźli się w kleszczach, mogli uciekać tylko przez wodę. Wtedy nasi rkmem cięli tyle, na ile amunicji starczyło. Ragner wtedy uratował naszych z UBK. Ale Ragner w nocy też dawał czadu i Niemcom, tylko zachowywał pozory przyjaznych stosunków, żeby dostawać od Niemców broń.

Kiedy Rosjanie przyszedli znów - po wycofaniu się Niemców - to bronni nikt nie rzucił. Broni było dużo, leżała pod ręką, mógł uzbroić się, kto tylko chciał. Część oddziałów poszła pod Wilno. Jeden mój brat był pod Wilnem. Potem te oddziały Rosjanie rozbrajali, nie wszyscy dali się rozbroić. Część ludzi, tych, co mieszkali niedaleko, poszła do domu, inni decydowali się ciągnąć pod Warszawę.

Bracia moi wrócili do domu. Rosjanie po wejściu wiedzieli, że tutaj działała AK, że ludzie z AK tutaj są - było przecież dużo szpicli. Szpiclowanie było zasadą funkcjonowania i partii i rządu - naszego komunistycznego i tamtego - rosyjskiego. Donosy nie musiały być prawdziwe, wystarczyło, że ktoś na kogoś doniósł... i już człowieka zwinęli.

Był taki przypadek: jeden z mieszkańców Nowosiółek pracował przy Rosjanach w sielsowiecie w Wawiórcie. On, jego ojciec i brat zostali zgarnięci, wywiezieni do lasu i rozstrzelani - ojciec i brat, bo on sam uciekł. I takich akcji było po różnych miejscach więcej. Ten, który uciekł, wiedział, kto zastrzelił jego ojca i brata. I wiedział, że to nie Tubilewicze. Ale ludzie, m.in. żona tego, który strzelał, mówiła, że to wszystko robią Tubilewicze. A Tubilewicze byli Bogu ducha winni, bo Tubilewicze w takie rzeczy się nie wtrącali, bo to nie było to, czego Tubilewicze chcieli. Ten przewodniczący sielsowietu mówił, że to nie Tubilewicze, że Tubilewicze byli w tym czasie w Lidzie. Ten przewodniczący sielsowietu czasem nawet do nas zachodził, kiedy miał po drodze - poczęstowaliśmy go, bo mieliśmy zawsze miód i dobre ogórki - ogórki z miodem to było to. Specjalnej przyjaźni z tym przewodniczącym nie było, ale do nas zachodził. A tamta kobieta stale twierdziła, że to nasza sprawa, bo chciała wybronić męża. Grabili i rozstrzeliwali tacy trzej z naszej wsi /dwóch znam na pewno/. To nie była już działalność AK, i takich zamiarów AK nie miała. Rozstrzeliwać ludzi!? i co to da. AKowcy narazie czekali - tak przynajmniej było

Mieczysław Tubilewicz c.d.

w naszym przypadku, owszem, broń była, wszystko było, ale takich akcji nie robiliśmy. W tej bandzie był nasz szwagier i jeszcze jeden mężczyzna /oni rozstrzelali/ - Rasiuk. Oni rozstrzelali bez wyroków organizacji. Potem żona Rasiuka wszystko przed KGB waliła na nas, żeby wybielić męża. Nie wiem, czy oni uważali takie akcje jeszcze za przejaw patriotyzmu, faktem jest, że to był normalny bandytyzm. Oni nie należeli do żadnej organizacji, i przedtem też nie należeli. Działali tylko we własnym imieniu, ale wiedzieli, że my należeliśmy do AK i że brat jest tu nad tym okręgiem zwierzchnikiem: trzyma porządek, żeby nie było takiego bandytyzmu, więc kilka razy w nocy przychodzili do nas do domu. Jego żona, nasza siostra i dziecko byli w domu. A on szukał Stanisława /naszego brata/, strzelał z peemu po suficie. Byliśmy rodziną, ale on odłączył się od nas jakoś na samym początku, bo mu widocznie to nie odpowiadało. Oni chodzili po nocach i grabili, mieli broń, napili się i rozrabiali - tak im się podobało. Faktem jest, że szwagier przychodził kilka razy po Stanisława - żona płacze, dziecko płacze, a on obiecuje go wykończyć, bluźni... Stanisław nie miał wyjścia.

Stanisław załatwił szwagra. Stanisław u nas rządził i miał posłuch wśród AKowców. Zrobili akcję. Ja nawet nic nie wiedziałem o tym, w tym czasie byłem w polu - orałem czy bronowałem. To było w odległości kilometra od naszej wsi. Szwagier urządził akcje na szwagra Gurnacza i tego Rasiuka Adolfa. Jestem w polu i słyszę serię: jedną i potem krótką drugą. Myślę, co tam się dzieje, przecież teraz jest pokój. Na Sachalinie? - bo to pole nazywaliśmy Sachalinem. Po godzinie czy dwóch dowiedziałem się, że mój szwagier został zabity. Co? Janek? Przyszedłem do domu i mówię matce i siostrze, że podobno Janek Gurnacz został zabity. Gdzie? Tam na Sachalinie, słyszałem dwie serie /potem strzały były pojedyncze, bo Rasiuk uciekał do domu, dopadł do domu i uratował się, bo akcja została przerwana/. ... Potem byłem na pogrzebie...

Za to aresztowali brata i za to mu dali 20 lat - że zabił. A przy nim aresztowali nas wszystkich. O mnie matce lejtietant powiedział - lejtienant Noskow - "Mieczysław zawtra pridiot domoj iz Lidy". Wtedy zabrali nie tylko nas, ze wsi zabrali cały samochód mężczyzn, m.in.: Waszkiewiczów, Czerniaków /Janek Czerniak był najlepszym kolegą brata/- Stanisław chował się w stodole u Czerniaków. Waszkiewiczów było dwóch - Jan i Bronisław; zabrali Irenę Cydzik, Mieczysława Cydzika, Miłchniewicza /dołączyli go potem w Lidzie/. Przed aresztowaniem był przeprowadzony dokładny wywiad - kto gdzie śpi, bo my nie spaliśmy w domu /ja tylko spa-



Mieczysław Tubilewicz c.d.

łem u siebie w stodole na sianie, bo jeszcze nie było zimno/.

To była niedziela, raniutko, cichutko, nic się nie działo i kto gdzie wstał, to szedł do domu. A kto wszedł do domu to już sam nie wyszedł, bo wszystko było obstawione. Samochody były podstawione za lasem, od strony Kowalów... Brali wszystkich, kto się nawinął. Sporo osób potem wróciło. Właściwie wrócili wszyscy oprócz nas, Mieczysława Cydzika i Michniewicza, którzy byli razem w sprawie.

Mnie i Aleksandra /brata/ bili najbardziej w kpz-cie, żeby zmusić do wskazania, gdzie jest schowana broń. Bo wiedzieli, że broń jest. A Stanisława nie bili, on potem pojechał z nimi wskazać schowek broni. Broń była w szopie przy oborze, tam leżało drzewo. Drzewo było w klockach, a brat zrzucając klocki mówi: "Tu jest peem." A broń była schowana w wydrążonych klockach. Była jeszcze w innych miejscach... Wtedy przestali nas bić. A lejtenant <sup>ie</sup> powiedział matce, że ja nazajutrz wrócę. Wróciłem po 12-tu latach...

Nas 6 osób było sądzonych w jednej sprawie. Ja w ogóle nie uczestniczyłem w tej akcji przeciwko szwagrowi, ale oskarżenie przeciwko mnie oparto na donosicielstwie. Kiedy zapytano tę kobietę, co ja robiłem w AK, to ona powiedziała, że ja zbierałem furmanki dla AKowców, znosiłem chleb, że u niej też brałem furmankę - mimo, że u niej właśnie nie brałem.

Rozprawa ~~była~~ w Lidzie, wyrok był ogłoszony dla wszystkich razem: nas czterech, Cydzik i Michniewicz. Michniewicz miał wtedy chyba ponad 60 lat. Nie wiem dokładnie, jak on był zamieszany do naszej sprawy. Najkrócej nasze oskarżenie można przekazać tak: my chcieliśmy naszą działalnością oderwać część Białorusi od Związku Radzieckiego i przyłączyć do Polski. A brat dostał 20 lat - za udowodnione zabójstwo. Ja nie brałem udziału w tej akcji, nie wiem, czy dwaj pozostali bracia uczestniczyli w tym. Sądzę, że Stanisław nie chciał <sup>nas</sup> brać obawiając się, że my nie będziemy strzelać do szwagra.

## tasma II

Miałem 16-ty rok, kiedy odczytano mi wyrok: dostałem 10 lat i 5 lat pozbawienia praw. Miałem zaplanowane życie na następne 15 lat. Byłem obojętny w czasie odczytywania wyroku. Nie myślałem o tych 15 latach, bo przez cały czas panowało u nas przekonanie, że wojna na tym się nie skończy, że będzie ciąg dalszy i "Związek Radosny" padnie. Oczekiwaliśmy, że alianci po zakończeniu wojny w Berlinie odpoczną i pójdą dalej - i o tym byliśmy przekonani. Wierzyłem w to jeszcze przed wyrokiem i nawet będąc w obozie wyłapywaliśmy z gazet to, co powiedział minister spraw zagranicznych Związku, gdzie był, co mu powiedzieli - sytuacja międzynarodowa była napięta.

Mieczysław Tubilewicz c.d.

Chociaż miałem taki moment: chyba w 1948 roku - staliśmy na budynku 27 metrów wysokości - nad Morzem Białym - z Mietkiem Cydzikiem /nie byliśmy w jednej brygadzie, ale pracowaliśmy na jednym obiekcie/, stoimy nad morzem i patrzymy na dół i mówimy do siebie, że gdybyśmy wiedzieli, że my naprawdę musimy siedzieć do końca swego wyroku, to byśmy wyskoczyli stąd. Początkowo nie myśleliśmy, że będziemy musieli odsiedzieć wyrok do końca.

Z Lidy powieźli nas do Orszy. W tym samym transporcie byli moi bracia, ale w innych wagonach, a potem - w innych salach. W Orszy braci nie spotkałem. W Orszy do pomieszczeń nas wciskali, wpychali - musiało do celi wejść tyle osób, ile oni zaplanowali. Staliśmy ściśnięci. Każdy kto miał worek, kładł ten worek koło pięt i na tym starał się usiąść. O spaniu nie było mowy. W Lidzie dostawałem od matki paczki z jedzeniem. Do Orszy wyjechałem chyba z małym zapasem jedzenia, ale Rosjanie nas grabili - więźniowie. Siedziało wtedy dużo żołnierzy rosyjskich - w Lidzie byli nawet w jednej celi z nami - 14-ej czy 21-ej? Tam była wielka draka Polaków z Rosjanami, z żołnierzami: kiedy nam podawali do okienka paczki, to Rosjanie nie przeszkadzali; kiedy się okienko zamykało, to oni podchodzili i wszystko zabierali. To byli więźniowie - żołnierze, którzy często przeszli cały szlak do Berlina. Jeden z nich mówił mi, że siedzi za to, że powiedział do kolegi, że po wojnie, kiedy będzie głosowanie, to nie będzie głosował na Stalina tylko na Żukowa. Spotkałem nawet osadzonego na 10 lat dwukrotnego Bohatera Związku Radzieckiego - kapitana pilota. To było niepojęte, że siedzieli ludzie, którzy walczyli w interesie Związku Radzieckiego 10 lat i siedzieli razem ze mną. Więźniowie ci nie otrzymywali żadnych paczek i grabili nas. Pewnego razu Polacy się przygotowali, bo to już wszystkich wkurzyło: ich było może 5 czy 6, a Polaków była większość; a oni leżeli, jedli i śmiali się z nas. Polacy więc przygotowali się: prycze były z desek, każdy sobie naszykował taką deskę - oderwał od pryczy i położył na miejsce. Jeden z naszych podobno złapał pokrywę od "paraszy" i tą pokrywę potem tak dał, że jak zahaczył jednemu tą pokrywę z tyłu głowy, to zerwał skórę aż do łba /byłem z człowiekiem z tej celi/. Polacy tak dali tym rabusiom, że klawisze bali się wejść do celi - sprowadzili pomoc z peemami. Naczelnik wszedł do środka, a ochrona stała z peemami. Naczelnik powiedział do tych Rosjan, że po to ich wsadza razem z Polakami, że by oni skorzystali z pomocy, bo Polacy dadzą im jeść; ale jak będą takie zachowania, to zbierze Rosjan do osobnych pomieszczeń i wtedy będą głodowali. To samo zapowiedział w innych celach.

Mieczysław Tubilewicz c.d.

W Lidzie siedział też Mietek Cieszek i jego siostra - z nim nawet potem trafiliśmy gdzieś razem. Cieszkowie byli z Lidy, siedzieli za AK. Cała ceta to byli Polacy, ale nie pamiętam nazwisk nawet tych najbliższych sąsiadów, z którymi grywałem w szachy.

W Orszy przeważali jeszcze Polacy. Byłem w tej grupie, z którą przyjechałem z Lidy, nie miałem kontaktu z innymi grupami. W Orszy byłem miesiąc - tak na stojąco. Stamtąd zawieźli nas do Mołotowska - nad Morzem Białym w obłasci Archangielskiej. Mołotowsk - to było miasto nowobudowane, na bagnach, na palach. Tam pracował wielki zakład na morzu, z odległości 7 km podawał piasek z morza rurami. Tam pracowałem na budowie, budowaliśmy bloki z cegły - na takiej betonowej podmurówce zwanej "łapą". Pracowałem tam przy morzu - budowaliśmy port drewniany, gdzie mogłyby przybijać statki - jako cieśla. Potem byłem na budowie, wykonywałem różne prace budowlane. Nasz brygadzista rządził trzema brygadami, jakoś nas tam poustawiał, nie mieliśmy źle w tym Mołotowsku. Brygadzistą był niejaki Wołkow - podobno kapitan marynarz, taki obrotny. Swemu prorabowi dawaliśmy ze swego przydziału po 200 gramów chleba - codziennie 5 osób. Brygadzista wyznaczał, kto dawał - po kolei. Dzięki temu mieliśmy najwyższą normę wykonaną. Prorab zawijał ten nasz chleb i nosił do domu żonie i dzieciom; prorab był z wolnych. Nasz brygadzista miał 2 brygady kobiet i 3 brygady mężczyzn. Kobiety wykonywały te same prace co i mężczyźni - murowały, tynkowały, wykańczały budowę. W naszym budynku kobiety robiły nawet cięższe prace niż mężczyźni. Polek tam raczej nie było, były Ukrainki, więźniarki polityczne. Nasz przydział chleba opłacało się oddać prorabowi, bo każdego dnia oddawało te 200 gramów inne 5 osób, a korzystała potem cała brygada - 30 osób. Oddawaliśmy 200 gram, a dostawaliśmy na dzień 850 - bo to była najwyższa norma.

Paczki otrzymywałem z domu, początkowo dwa razy w miesiącu, potem chyba raz w miesiącu. Paczki można było otrzymywać częściej, ale w domu nie było z czego, bo matka i siostry musiały wysyłać dla nas czterech. Początkowo miały z czego wysyłać, bo kiedy byliśmy w domu, to było 18 świń, 4 krowy, owce... Pomagali nam z domu coraz mniej, paczki stawały się coraz rzadsze, a w 1952 czy 1953 roku otrzymaliśmy w łagrach tzw. chozrasciot. Pracowałem wówczas w Aresie w kopalni węgla. Wtedy dawano nam po 100 rubli /to były stare ruble/ 3 razy w miesiącu. Na terenie obozu był kiosk, w którym można było kupić coś do zjedzenia, np. arbuz i chleb - i człowiek już był zadowolony. Resztę pieniędzy po odliczeniu tego, co na mnie wydano - na utrzymanie więzienne, na moje wychowywanie i td - wpisywano do książki na mój rachunek. W miesiącu można było pobrać

Mieczysław Tubilewicz c.d.

300 rubli. Potem zaczęto nam ogłaszać, że możemy wysłać pieniądze do domu. Poszedłem sprawdzić swoje konto - miałem pieniądze! Napisałem podanie na 300 rubli, wysłałem. Otrzymałem list od siostry, że otrzymała te pieniądze.

Wiem, jak tam było w domu. Dopóki było w domu, to nam przysyła-  
li paczki. A potem wszystko im zabrano, ziemię do kołchozu. Wszys-  
tko się skończyło, chociaż nie było tak najgorzej zaraz. Wiem, że  
te 300 rubli im pomogło. Napisałem następne podanie o zezwolenie  
na 500 rubli /w domu pozostała matka, jedna siostra niezamężna i  
jedna wdowa - z dzieckiem/. Wysłałem 500 rubli, otrzymałem list po-  
twierdzający, że te 500 rubli doszły. Potem otrzymałem zdjęcie z  
rowerem, siostra pisała, że kupiła za moje pieniądze rower. Jak ja  
się cieszyłem, że nareszcie my możemy pomóc. W tym czasie w łagrze  
już nie głodowałem - był przydział więzienny i można było dokupić  
na te 300 rubli. Dobrego nic się nie zjadło, ale chleba było już  
prawie że pod dostatkiem.

W ogóle podczas pobytu w obozie przeżyłem głód nieraz, jeszcze  
w Mołotowsku. Byłem wówczas w oddziale /oddział liczył 7 tysięcy  
więźniów/ razem z braćmi Janem i Aleksandrem /Stanisław był gdzie  
indziej/. Bracia spostrzegli /dowiedziałem się o tym później/, że  
ze mną jest źle i zdecydowali oddawać mi swój ranny przydział chle-  
ba. Zapytałem brata, czemu mi oddaje swój pajok, a on się wykręcił,  
że kupił chleb rano na rynku za tytoń /akurat dostaliśmy w paczce  
tytoń/ - a w więzieniu był taki rynek wewnątrzobozowy, gdzie więź-  
niowie wymieniali coś pomiędzy sobą. Dopiero po jakimś czasie dowie-  
działem się, że oddawali mi swój chleb. Nie było ze mną dobrze,  
widziałem, jak wyglądałem ja sam i jak wyglądali inni więźniowie  
obok mnie - kiedy byliśmy w łazni. Obraz był podobny do tych, któ-  
re później oglądałem w relacjach o Oświęcimiu. Bywałem tzw. docho-  
diagą - wtedy kładli mnie do stacjonaru, z III czy IV grupa, a jak  
trochę się poprawiałem, to komisja znów kierowała do roboty. Byłem  
takim dochodiagą dwa razy. A potem zaczęliśmy ocierać się o kuch-  
nię. Brat Aleksander był kelnerem. Były dwie kuchnie - zwykła i  
"rekordnaja" /dla rekordzistów/. Kiedyś brat mi powiedział, żebym  
na drugi dzień skoro świt ~~sta~~ <sup>w</sup>stał się do tej rekordowej stołówki,  
bo tam zabrakło jednego kelnera. Wstałem raniutko, koledze powie-  
działem, żeby w naszej stołówce wziął mi chleb, a moją porcję  
zjadł, wziął moje ~~na~~ <sup>o</sup>nakrycie - że ja się do pracy stawię. Pobiegłem  
do stołówki, brat już czekał na mnie, wprowadził mnie jako kelnera.  
Tak zacząłem pracę w stołówce - brat pracował w stołówce ogólnej,  
a ja w tej drugiej. Tam już człowiek odżył, nie tylko sam, ale po-  
mogłem temu trzeciemu bratu i innym Polakom, z którymi byłem bliżej.

Mieczysław Tubilewicz c.d.

Człowiek jest jak świnia, nie musi jeść tłusto, wystarczy kaszy pod dostatkiem - i już nabiera ciała. Wtedy nabrałem ciała. Taka synekura w stołówe trwała dopóki nas nie wywieźli dalej.

Wywieźli nas na Syberię. Ale tam brat Aleksander znowu zaczął od strony kuchni. Brat umiał nawiązywać takie kontakty, pomagał mi, bo ja tam już w kuchni nie pracowałem. Tam zachorowałem nawet na żółtaczkę - nie wiem, czy zakaźną, czy nie. Leżałem nawet w szpitalu, dostawałem jakąś sól angielską i jeszcze jakiś proszek. Leżałem tam niedługo. Kiedyś nawet brat mi przyniósł z kuchni bułeczki - chyba z pięt - a ja nie miałem apetytu. Leżałem w sumie chyba z tydzień.

Na Syberii chodziliśmy na wyrąb lasu, budowaliśmy tam potem domki z modrzewia. Modrzewiem też paliliśmy na ogniskach - wycinaliśmy modrzewie, bo był potrzebny plac, a nie drzewo. Listy z domu dostawałem, kobiety nie miały w domu żadnych rewelacyjnych wiadomości. Wstąpiły do kołchozu - łaski nie robiły, bo już im zabrano ziemię i kazano iść do pracy. Mama do kołchozu już nie chodziła, była za stara. Ta młodsza siostra początkowo też być może nie chodziła do kołchozu - była za młoda. A druga siostra musiała chodzić.

To było chyba w 1957 roku, byłem tam w domu. Siostra przyjechała na rowerze i coś przywiozła w worku. To był jej całoroczny zarobek. Pomyslałem, że siostra może żartuje, ale to okazało się prawdą.

Czy miałem w łagrach momenty załamania? Wtedy ta rozmowa z Mietkiem Cydzikiem na wysokości 27 metrów była taka, bo człowiek nie był jeszcze poważny. 10 lat?! Kto by to wytrzymał? Kto to dożyje wolności w tych obozach? Ile to lat będzie się miało po zwolnieniu? W ogóle człowiek był wtedy taki nijaki, może z tego osłabienia? z niedożywienia? W Mołotowsku miałem podporę w braciach. Ale nie zawsze byliśmy razem. Chociaż to było dużo. Nawet kiedy przewieziono mnie do Magadanu /nie pamiętam, czy Jan był ze mną/, to Aleksander trafił tam wcześniej. Wchodzę więc kiedyś do stołówki, a on w białej kurtce wychodzi mi naprzeciw - był w kuchni kucharzem, gotował dla tych chorych, dla "stacjonaru", takie lepsze jedzenie. Tam do niego po to jedzenie przysyłali obozowe "przydurki". Brat kazał mi po zjedzeniu swojego posiłku przyjść do niego - wtedy mogłem zjeść coś konkretniejszego. Ale w Magadanie mało byliśmy.

W Magadanie byłem coś około miesiąca. Dali mnie do brygady, chodziłem do roboty. Wychodziliśmy za baraki. Tam były jakieś magazyny, łaźnia i takie inne zabudowania. Miałem klucze od łaźni

Mieczysław Tubilewicz c.d.

dla wolnych, tam przychodzili żołnierze, oficerowie. Mnie prosili o klucz. Byłem brygadziwą. Był tam też budynek, w którym mieszkał nadzór nad obozem. Kucharzył tam Urainiec, a ja mu pomagałem. Dawał mi do próbowania potrawy, żebym wydał opinię, czy, np. dość soli.

Niedaleko był obóz kobiet. Kobiety gonili w górę, tam kobiety brały po konarze drzewa i przynosiły do kuchni. Ustawiały się w kolejce do toalety, chyba nie tyle z potrzeby ile po to, żeby przeczekać czas, bo pod górę nie było lekko chodzić. Początkowo obracały po to drzewo trzy razy, potem już tylko dwa. Ta kolejka nigdy by się nie skończyła, ale potem żołnierze zaczęli je wyganiać. Z tego korytarza kobiety widzą, jak ja chodzę po tej kuchni, widzą, że też mam numerki więzienny. Więc jak zostają resztki kaszy czy czegoś innego, to ja pozgarniam to wszystko i wyniosę na zewnątrz /bo do stołówki nie mogłem ich wpuścić/. Tam nie potrzeba było łyżek, każdy łapał tę kaszę ręką /kasza była sypka!/. Jak zostawały resztki chleba, to patrzyłem, czy kobiety są daleko na górze - zamiast na śmietnik, składałem te resztki gdzieś w rogu, przykryłem papierem - i potem w mig to było rozebrane!

Tam w stołówce nie było nawet źle, gdyby można było tam zostać na dłużej. Ale zaraz mnie zabrali i wywieźli na Ares - do kopalni węgla. Tam początkowo byłem w brygadzie na powierzchni - dostarczaliśmy drewno, budowaliśmy estakady, wykonywaliśmy różne prace w drewnie. Byłem już w miarę silny. Już wtedy był chozrasciot. Potem jako ten silny zostałem skierowany pod ziemię. Pracowałem przez pewien czas na przodku, ale przodek nie jest taki straszny, bo nie zawsze ten węgiel szuflowało się. Czasami puszczało się taki kosz z lebiodka, można nim było kierować i ten kosz ładował węgiel. Początkowo więc byłem na przodku. A potem pojawiły się kłopoty z wagonem, który zeskakiwał z torów. Ja spróbowałem tym wagonem kierować, udało mi się, zostałem "lebiodczykiem" i potem, gdzie tylko przeszedłem, to zawsze jako "lebiodczyk" - albo wyciągałem wagony, albo kosz. Na samej górze nie siedziałem, byłem pod ziemią, bo tam zawsze było cieplej.

W kopalni pracowałem do końca swojego wyroku. Ponieważ były "zaczioty" - 150% normy i plan - listy z osobami z "zacziotami" wysyłano do Magadanu - za jeden kwartał zaliczali dwa kwartały do przodu. W końcu przyszedł dzień, kiedy powiedziano mi, żebym nie szedł do roboty, że będę zwolniony. Człowiek w to nie wierzy. Było nas takich siedmiu. To było 27 lutego 1954 roku. W obozie byliśmy jeszcze kilka dni, zanim przysłali nasze dokumenty.

Po zakończeniu wyroku zabrali nas z obozu i wywieźli do lasu samochodem - może ze 300 km dalej - gdzie diabeł mówi dobranoc.

Mieczysław Tubilewicz c.d.

Stamtąd pamiętam jednego Polaka - Stanisław miał na imię. Była też jedna Polka - była z Rosjaninem, mieszkała z nim, a ten Polak był u nich na kwaterze. Potem ten Polak się od nich wyprowadził do baraku, ale ona przychodziła po pranie - prała mu. Więcej tam Polaków nie było. Kiedy my wyruszyliśmy z tego lasu z powrotem, to oni nie wierzyli w to, że nas nie zawrócą z drogi znów do tego lasu. Ale myśmy ruszyli i zostaliśmy już przy tej trasie Magadan-Susuman. Ponieważ w naszym przedsiębiorstwie zaczęto na nas najeżdżać - dlatego my bez zezwolenia wyjechaliśmy z tych lasów, to my rozeszliśmy się po innych przedsiębiorstwach, żeby uniknąć zadrażeń. Ja też urządziłem się gdzie indziej. Mieszkałem w baraku - już poza obozem, bo byłem wolny. W baraku mieszkanie było bezpłatne, a gdybym wynajmował u kogoś jakiś kąt, to trzeba byłoby płacić. Nie planowałem żadnego urządzania się tam na stałe, nie przeszło mi przez myśl. W baraku był taki pokoiczek na dwie osoby, zaraz tam jakoś się urządziłem, wkrótce zamieszkał ze mną kolega. Człowiek, owszem, starał się, żeby było jak najwygodniej. To już było po rozpatrzeniu naszej sprawy przez trybunał wojenny okręgu leninградzkiego. Ja już byłem uważany za osobę niesądzoną, nie musiałem już tam mieszkać, to było już po 1955 roku. Zostałem tam już dobrowolnie na zarobek. Bratu Aleksandrowi daliśmy, kto jaki grosz miał, i odprawiliśmy go do domu. Ja miałem już paszport, nie musiałem się meldować u komendanta. Mogłem jechać do domu, ale zostałem, żeby trochę zarobić. Jechać nie było nawet za co, bo za podróż trzeba było już płacić. Potem z bratem Janem za podróż do Moskwy zapłaciliśmy chyba 2 720 rubli /za tę sumę można było kupić motocykl "IŻA" - w Polsce on kosztował 30 000/ właśnie brat przywiózł potem takiego iża/. Po tych dwóch latach pobytu dobrowolnego na Kołymie brat miał 14 000 rubli, a ja - 17 000. To była spora suma, za 22 000 można było wtedy kupić "moskwicza". Ale "moskwicza" nie kupowaliśmy, kupiliśmy w Moskwie prezenty - w GUMie. Niektóre prezenty kupiliśmy w Lidzie. Siostry nie widziałem tyle lat, a ze zdjęcia rozmiaru nie można określić. Zachodzę w Lidzie do sklepu i mówię do ekspedientki, że potrzebuję ładną sukienkę. Ona przyniosła dwie - jedną za 270 rubli, drugą tańszą. Pytam, na jaki to wzrost, czy na nią będzie pasował. Ekspedientka odpowiada, że tak i dziwi się, że nie wiem, jak wygląda osoba, dla której kupuję. Nie chciałem jej tłumaczyć wszystkiego, powiedziałem tylko, że dawno tej osoby nie widziałem, i wziąłem sukienkę.

Brat czekał na nas w domu, na pieniądze, bo Aleksander się zenił. Należało mu się, bo on pojechał najwcześniej ratować jakoś siostry i matkę, ratować rodzinę.

Mieczysław Tubilewicz c.d.

Do Moskwy lecieliśmy samolotem. Z Moskwy do Lidy - pociągiem. W Lidzie w hotelu przenocowaliśmy. Tam nawet nas szukano, bo w hotelu pracowała znajoma dziewczyna i rozniosła wiadomość, że są Tubilewicze. Ale myśmy z samego rana z hotelu poszli do znajomego, ubraliśmy się ekstra, bo w Moskwie kupiłem za 3 000 rubli eleganckie jugosłowiańskie futro /i dzisiaj je mam, całkiem dobrze wygląda/. Z Lidy jedziemy do domu..., bo jakże inaczej.

/Później w Katowicach zrobiliśmy w tych skórzanych futrach zdjęcia - brat starszy był w Katowicach i do niego pojechaliśmy; stoi nas trzech w skórzanych płaszczach, z motocyklami. Nasz kuzyn Hipolit zobaczył to zdjęcie i mówi: "Cholera, przyjechali parę miesięcy temu z Syberii i dywizję zmotoryzowaną zakładają!/"

Pod Lidą - w drodze do Polski byłem jeszcze ze dwa miesiące. Bawiłem się na dwóch weselach w rodzinie, a co wesele - to jestem drużbantem. Wszyscy dookoła chcą mnie żenić, wmawiają, że potem w Polsce nie znajdę takich dziewcząt jak u nas pod Lidą. Ale z naszej czwórki tylko Aleksander ożenił się na kresach.

Mama potem opowiadała, że co niektórzy z naszych chłopaków wrócili z łagrów z żonami, pożenili się z Rosjankami. Tam, gdzie ja odbywałem swój wyrok, w ogóle nie było kobiet /chodzi tu o okres kiedy pracowałem na Kołymie już jako wolny/.

#### II strona

Na naszym osiedlu, gdzie mieszkałem pracując w kopalni, było 400 kawalerów, a tylko dwie panny. A człowiek miał 27 lat, kiedy wyszedł z obozu! i już czuł się normalnie. Kiedyś ustawiłem się w sklepie w kolejce, przede mną stała ta jedna z panien. Patrzę na nią i myślę, że niechby albo mnie pogotowie zabrało, albo ciebie.

Kobiety były w łagrach. Kiedyś przez trzy dni nasza brygada naprawiała w barakach kobiecych podłogi. Miałem do pomocy dziewczynę - raz to była Estonka, a raz chyba Litwinka. Ale ja chyba z powodu wiary myślałem o tym, żeby nie grzeszyć, bo te dziewczyny wykonywały pracę pozorowaną - prostowały gwoździe czy coś takiego... Nie można powiedzieć, że się dziewczyny domagały..., ale widoczne było wyraźne oczekiwanie... Potem naszą brygadę po trzech dniach stamtąd zabrali, bo chłopcy za bardzo rozrabiali.

Na Kołymie, na tym osiedlu, było nas 400, a tylko dwie panny. Każdy, kto miał prawo do wyjazdu stamtąd, starał się wyjechać. Ale podanie o zezwolenie na wyjazd było zazwyczaj odrzucane - nie da rady, nie ma ludzi do pracy. Ale jednak trochę ludzi - upartych - wyjeżdża. Cała sprawa oparła się o Moskwę, o rząd. W 1956 roku tam dostarczono 13 pociągów - nie samych kobiet - było wśród



Mieczysław Tubilewicz c.d.

nich paru chłopców, ale bardzo mało. Dziewczyny były zebrane z największych miast, komsomołki, które przyjechały budować komunizm w Dalstroju. Obiecano im pracę, jaką kto chce. Nie mówiono im zapewne, że tam nie ma kobiet i wyjdą zaraz zamąż. Przed tym ich przybyciem do nas z najlepszych budynków, nawet z biurowców, wyprowadzono ludzi, pobudowano pokoiki dla dziewcząt. Przygotowano Tanc-płoszczadkę, oświetlono, zorganizowano muzykę - i potem co wieczór zabawa. Jak się popatrzyło na te dziewczyny - odrysowane, z maki-jażem - tak jak teraz w Polsce. Ale teraz jesteśmy do tego przyzwyczajeni. A wtedy człowiek nie wiedział, jak do niej podejść, bał się ją w tańcu objąć. Dużo ludzi wtedy się pożeniło. Z kątem do mieszkani<sup>o</sup> nie było problemu - jakiś mały pokoiczek albo odgradzony prześcieradłem kąt w pokoju ogólnym. Po potańcówce dziewczyny pro-wadziło się też do pokoju, gdzie spali koledzy... Tak właśnie w 1956 roku, po dostarczeniu tych 15 pociągów dziewcząt, dużo męż-czyzn zostało w Dalstroju, pożenili się, mieli dzieci. Polacy też pewnie się wtedy pożenili. Znam nawet jednego - Anton Kulesza - mieszka w Gliwicach. Anton pracował tam, a jego przyszła żona pra-cowała tam w biurze budowy. Na imię miała Lida. Chłopak chciał ją poderwać - a jak poderwał, to nie miał jak się jej pozbyć. Ożenił się i przyjechał z nią do Polski.

W Polsce chciał się tej żony pozbyć. Trochę niedomagał, powie-dział więc żonie, że na Kółmie on się jednak czuł znacznie lepiej. Zapropo-nował żonie, żeby ona pojechała tam, zarobiła trochę pie-niędzy i ściągnęła go na Kółmę. Żona wyjechała, zaczęła pisać - a tu żadnej odpowiedzi od męża. Zrozumiała chyba, o co tu chodzi-ło. Kiedy on mi o tym opowiadał, powiedziałem mu, że to nie ta ko-bieta, że nawet gdyby on pięć razy zmieniał adres, znalazł się w piekle, to i tak ona go odnajdzie. Odnalazła. Po jakimś czasie Anton informuje mnie, że Lida już jest na Ukrainie. Powiedziałem, że będzie w Polsce. Przyjechała, odnalazła go.

... Kiedy zmarł mój ojciec w 1935 roku, to mama uzgodniła z księdzem opłatę 16 złotych za pochówek. Zapłaciła 15 złotych, po-wiedziała, że brakującą złotówkę przyniesie w niedzielę, ale zło-tówki tej nie przyniosła, bo nie miała, a pożyczać chyba nie chcia-ła. W niedzielę ksiądz z ambony krzyczy, że nie oddano mu tej zło-tówki. Matka wybiegła z kościoła, od kogoś w Wawiórcie pożyczyła tę złotówkę i oddała. To był ksiądz Rokicki - zmarł przed przyj-ściem bolszewików, mawiał, że woli umrzeć, niż oglądać u nas bol-szewików - i rzeczywiście - umarł... Do organów w Wawiórcie pompo-wał powietrze Trusiło. Nieraz chodziłem do niego na górę, czasami

Mieczysław Tubilewicz c.d.

wchodziłem na strych na plebanii. Kiedyś widzę na tym strychu takie kupki - po 5 groszy, po 2 grosze i po groszu. Całe kupki tych groszy ponasypywane, więc czasami naberaliśmy tych groszy do kieszeni. A ksiądz za złotówkę z ambony matkę wyzwał! Od tamtego czasu zraziłem się do niego jako do człowieka, do księdza; nie mam o księżach pozytywnej opinii.

W jednej z rodzin syn był organistą, a ojciec komunistą. To była rodzina Marcinowiczów. Mój brat Aleksander ożenił się z Marcinowiczówną, ale chyba nie z tej rodziny, z Zosią. Ale kiedyś ten Marcinkiewicz z Wawiórki przyszedł do brata Stanisława z prośbą o pomoc, bo ktoś /chyba nawet nie AKowcy/ mu coś zabrał. Zastanawiałem się, skąd oni w Wawiórcie wiedzą, że brat sprawuje władzę z ramienia AK. A brat mógł się dowiedzieć, czy to AKowcy tam byli u Marcinowicza, czy kto inny podszył się pod AK. Brat obiecał Marcinowiczowej, że dowie się, jeżeli to AK zrobiła, to będzie wszystko naprawione - to jej gwarantuje; natomiast, jeżeli to nie AK - to sprawa nie jest taka prosta. A Czesiek Marcinowicz chował się wiele lat po przyjsciu Rosjan - nie wiem, czy nie 20 lub 30, nie było go nigdzie w rejestrze, nigdzie się nie pokazywał. Wiedzieliśmy, że on gdzieś tam jest, ale tak się zaciął, że go nikt nie widział. Czesiek był kawalerem, miał brata Jarka, siostrę. Rozmawiałem z Jarkiem już po moim powrocie z łagrów, pytałem, co ten Czesiek wyrabia.

W 1957 roku byłem z bratem Aleksandrem w Wawiórcie /jego żona pochodzi z Wawiórki/, stoimy tam na podwórzu, rozmawiamy, a dochodzi do nas uczestkowy i mówi, że chce z nami rozmawiać, ~~że chce z nami rozmawiać~~. Zaszliśmy do jakiejś knajpki w pobliżu, usiedliśmy w rogu. A ten milicjant mówi nam, że jeżeli nam coś ciąży w kieszeni, to lepiej żebyśmy to oddali /chodziło o broń/, bo po co mielibyśmy to nosić i mieć nieprzyjemności. A mnie aż zatrzęśło: co on sobie wyobraża; myśmy odsiedzieli 10 lat i chcemy jeszcze raz tam pójść? skąd mu to przyszło do łba? zbeształem go. A on na to, żebyśmy się nie denerwowali, że on o tym mówi, bo na nas piszą donosy nawet do Moskwy, że my wróciliśmy z obozu, że mamy broń, że nosimy broń ze sobą, że chcemy... Kto to pisze? A to Rasiuczycha, ta, która świadczyła przeciwko nam na procesie. Ona się bała, że my możemy teraz się mścić i zaczęła wszędzie pisać.

W Lidzie i w swoim domu w r. 1957 byliśmy już tylko przejazdem w drodze z Kąkły do Półski. Mieliśmy wzięć do Półski i ewentualne pozostanie pod Lidą nie wchodziło w rachubę; nie mieliśmy wyboru - w wizie jest data, do której powinniśmy przekroczyć granicę.

Mieczysław Tubilewicz c.d.

Na K<sub>o</sub>łymie starałem się o wyjazd do P<sub>o</sub>lski, bo do Lidy mógłbym kiedyś wrócić, ale to byłoby nie tak prędko. Ja miałem już wizę do Polski i to dyrektor nie chciał ze mną gadać o wyjeździe. Jedynie w dziale kadr pomogli mi to załatwić. A stamtąd chciałem się wyrwać, przecież tam bywało minus 56<sup>o</sup>. Prawo powrotu do domu miałem, ale dyrektor nie chciał zwolnić z pracy. A pracy porzucić nie wolno. Poza tym w grę wchodziły pieniądze na podróż: autobusem do Magadanu, statkiem z Magadanu do Chabarowska, dalej pociągiem. A my lecieliśmy samolotem z Susumanu do Moskwy.

W P<sub>o</sub>lsce brat z żoną dostał mieszkanie w Częstochowie. Nieznajacy też dostawali mieszkania, bo w Częstochowie czekały mieszkania, były pobudowane nowe bloki.

~~... w Warszawie...~~

Przyjechałem z bratem Janem do Feliksina koło Łodzi, do kolegi brata, byliśmy tam około pół roku - trochę u niego, potem wynajęliśmy mieszkanie w pobliżu, potem dostałem taką dziurę niedaleko zakładu. Ożeniłem się, wesele było u brata Stanisława, bo brat ożenił się wcześniej z dziewczyną, która miała zakład prywatny /pranie i prasowanie bielizny/. Potem dostałem locum od zakładu - najpierw słabe, a potem dostałem mieszkanie - działałem w związkach zawodowych.

Straciłem 12 lat z życia, najwrażliwszych i najpiękniejszych. Najpiękniejsze lata zgniły w obozie. Nie wiem, gdziebym był i co bym robił, gdyby<sup>m</sup> tam nie trafił. Na pewno nie siedziałbym w tych Siesiulkach. Przecież ludzie wyjeżdżali do Polski wcześniej. Mój brat stryjeczny jest w Katowicach, przyjechał w 1945 roku, skończył studia, jest inżynierem, pracuje w biurze projektów. Na pewno i ja mógłbym się wykształcić.

Nie myślę, że bym coś z tych 12-tu lat zyskał. Przeszedłem na pewno swoistą szkołę: człowiek nikomu nie wierzy. Pamiętam, jak wracaliśmy: z Lidy jechaliśmy taksówką - znajome ścieżki, drogi, wszystko swoje. Przyjechałem do domu, pod dom. Samochód się zatrzymał, wchodzę do domu - jak objąłem matkę, uspokajam ją, żeby nie płakała, a mi samemu łzy leciały ciurkiem - nie kroplami, a ciurkiem. Ja nie płaczę, nie szlocham, ale dwie chustki już mokre, łzy leją się na głowę matki - taki mnie żal schwycił, że z oczu woda się leje. Póki dojeżdżałem do domu, wszystko normalnie, podjechałem do domu - normalnie, a potem łzy się lały strumieniem - nie wiem, dlaczego: radość z powrotu, radość z tego, że mam matkę w ramionach, przypomniało się, że matce obiecywali, że ja wrócę nazajutrz - a ja wróciłem po 12 latach... Tego N<sub>o</sub>skowa potem załatwili /pod Lidą/.

Mieczysław T<sub>u</sub>bilewicz c.d.

Lejttenant Noskow był z Lidy. A gdzie go załatwili - może i w Raduniu? Opowiadała mi o tym siostra. Noskow był zbyt pewny siebie. Poszedł, żeby ująć jakiegoś oficera czy podoficera z AK, który się ukrywał. Noskow miał informacje, miał donosicieli. Wszedł do stodoły, zaczął legitymować tego AKowca. Zarządał dokumentów, a ten wówczas sięgnął niby po dokumenty - i strzelił do niego - i trup na miejscu. Należało mu się.

Kiedy teraz pokazują w telewizji Rosjan, którzy są odpowiedzialni za mordowanie Polaków w Katyniu, o tym, kto podpisywał, kto dawał rozkazy, to ja myślę o swoim śledczym, który mnie lał. Wydaje mi się, że gdybym go teraz spotkał, to mi ręka chyba by nie zadrżała. Chociaż teraz pewnie bym go nie poznał. Przecież to wszystko byli oficerowie. Kiedy mnie śledczy lali, wszedł pułkownik - ja przez chwilę miałem nadzieję, że ten pułkownik może mnie obroni. Ale gdzie tam! kazał mi jeszcze dołożyć! Siadają na głowę - na wyciągnięte ręce, na nogi - i deska! Będąc w areszcie w Lidzie i potem w obozie czasami myślałem, że człowiek nie był nigdy w stanie wyobrazić tego, że można istnieć w takim stanie, że tak nim mogą poniewierać, tak upodlić, uważać - mało: za bydlaka, uważać za nic. Mogą cię pobić, zabić, wrzucić, obojętnie - co zrobić i nikt za to nie odpowiada, wręcz odwrotnie - jeszcze premię ktoś za to dostanie. Pamiętam taki przypadek: będąc w Irkucku byłem skierowany do wycinania drzew. Przy kolei był duży nasyp. Było przy nas dwóch żołnierzy - jeden przełożony i jeden podwładny. Oznaczyli zonę, w której my mamy pracować. Dobrze, pracujemy. Odrazu ścięliśmy dużą sosnę i ja siekierą oczyszczam z niej gałęzie i tak się przesuwam wzdłuż leżącego pnia. Patrząc, a za sosną stoi ten naczelnik - a ja posuwam się wzdłuż pnia. Nagle spojrziałem w kierunku tego grugiego żołnierza... i szybko z powrotem! Okazało się, że przy tym pniu już przeszedłem tę linię, za którą nie wolno było przechodzić - i tamtem już się złożył do strzału - bez ostrzeżenia. Ja spojrziałem - i już jestem na muszce! A ten przełożony kręci głową. Natychmiast padłem na ziemię i wołam do brygadzysty, że ja tu nie będę pracował, bo żołnierz już do mnie celował. A ja przekroczyłem linię zony, bo sosna tak spadła. I dobrze, że ja spojrziałem na naczelnika, który kręcił głową... Gdyby mnie zastrzelił, to żołnierz dostałby urlop, nagrodę - za to, że położył potencjonalnego uciekiniera, bo powiedziano by, że ja chciałem uciekać. Zastanawiałem się czasami, jak ludzie mogą tak żyć pod tym słońcem? gdzie ja trafiłem?

Dlatego teraz opowiadając czasami się denerwuję, a czasami się rozczulam. I dlatego nie lubię wspominać.